

268

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

# „ONDYNA”

Trudno powiedzieć, żebyśmy byli przekarmiani przez Teatr im. Jaracza, po „Żywym trupie” (bo rocznica tołstojowska, tak?) i „Krakowiakach i góralach” (któryż to już raz?) zaproszono nas na „Ondynę” Giraudoux, rzecz, powiedzmy od razu, cokolwiek zmurszałą.

Teatry tego miasta nie gustują, jak słyszę, w dziełach autorów awangardowych, Becketta czy Ionesco, czy Shechadé można oglądać na scenach Warszawy, Krakowa lub Gdańska, ale nie w Łodzi. Nie w Łodzi, byle nie w Łodzi, tu Beckett zrobiłby kłapę, na sztukach Ionesco sala świeciłaby pustkami, czyż nie tak? Stary, dobry argument, robotnikom łódzkich fabryk to się nie spodoba, to nie jest teatr dla mas, ta „Końcówka” jest tak pesymistyczna, ten „Nosorożec” cokolwiek dwuznaczny, te „Krzesa” po prostu niezrozumiałe. Stary, smutny argument, rzadko wypowiadany, choć często słyszalny w podtekstach. Nie warto i nie trzeba go przecież nadużywać, tu i tak mało kogo obchodzi to, co się pisze i gra w Paryżu, o Witkacego upominają się tylko studenci (bo go grają), a Paryżem to my sami sobie jesteśmy.

Ten Giraudoux, którego możemy oglądać na scenie Teatru im. Jaracza, spodoba się oczywiście robotnikom,

niegdyś był to co prawda autor, powiedzmy, awangardowy, ale minęło 20 lat, za ledwie 20 lat, i poniekąd teksty zjełczały cokolwiek, i teraz można je już proponować do strawienia widzowi masowemu. Ba, żeby te teksty choć zjełczały, żeby ów zapasek, unoszący się, powiedzmy, wokół „Ondyny”, był zdecydowany, nawet jeśli miał być zdecydowanie odrażający. Znany autorów, których teksty pachną zdecydowanie odrażająco, a przecież można ich grać. Byli to bowiem autorzy zdecydowani na wszystko. Giraudoux nie był zdecydowany, kusila go awangarda (to, co wtedy nazywano awangardą), ale lubił także tanie aforyzmy, dusza światła oddycha nozdrzami i skrzesami, ale człowiekowi zachciało się mieć swoją własną i rozdrobnił w najgłupszy sposób duszę powszechną, powiada się w „Ondynie”, ten tekst pachnie tak samo jak pachniał przed 20 laty. Znany ten zapach, to Chanel nr 5. Nie, to nie Chanel, to naftalina. Tak czy inaczej, zapasek uroczy, coś dla masowego widza, tego, który nie strawiłby dziś — zdaniem niektórych ni Witkacego, ni Becketta.

Naprawdę, nie wiem, po co wystawiono „Ondynę”. Lato, do Bożego Narodzenia jeszcze daleko, Giraudoux zejdzie z afisza, i coś z Andersena i tak trzeba będzie zagrać. Nie doradzałbym zresztą pokazywania „Ondyny” dzieciom, ta bajka obliczona jest, mimo wszystko, na wytrzymałość dorosłych, dzieci woląłyby na pewno zobaczyć przyzwolnie wystawionego „Kopciuszka”. Ja także, w „Kopciuszku” wiadomo przynajmniej o co chodzi, dobro triumfuje nad złem, moral jest jasny i przejmujący, a los owej



Alina Kulikówna (Ondyna) i Zbigniew Łobodziński (Hans)

Fot. Franciszek Myazkowski

dziewczynki, która zgubiła pantofelek na balu, może się stać udziałem każdego. Los Ondyny nie wzruszy dziś nikogo, w miastach naszej cywilizacji nie spotyka się już rusalek, a stosunki między człowiekiem a naturą zostały dawno i definitywnie załatwione na niekorzyść tej ostatniej.

Jeśli, mimo wszystko, trzeba już było grać tego właśnie Francuza (ale nie trzeba było, bo między „Żywym trupem” a sztuką Kożusznika wolno grać cokolwiek i byle jak, na przykład Szekspira albo Labiche'a) to można było wystawić, powiedzmy, „Przyczynę do podróży Cooka”, to też jest perfuma, ale nieco ostrzejsza. I z nieco lepszymi rolami, bo w „Ondynie” nie ma —

wbrew pozorom — nawet ról, są tylko schematy, schemat rycerza, i ziej Berty, i dobrej królowej. Przekonała się o tym także i Alina Kulikówna (Ondyna). Chwilami naprawdę wzruszająca, brnęła z trudem przez puste partie tekstu. Tę wysoce utalentowaną aktorkę chciałbym zobaczyć kiedyś w roli współczesnej dziewczyny. Albo w roli Kopciuszka. Bo w Ondynę, proszę mi wierzyć, nie można już tchnąć życia.

Teatr im. S. Jaracza, Jean Giraudoux „Ondyna”. Przekład Henryka Rostworowskiego. Reż. Maryna Broniewska. Dekoracje: Józef Rachwański. Kostiumy: Ewa Soboltowa. Muzyka: Tomasz Kiesewetter.